

# Teatr życia w Juryszkach

Izabella Cywińska opowiedziała historię rodziny Jurewiczów od początku stulecia do repatriacji w 1945. Ale ten serial nie przypominał niczego, co zwykle o tej godzinie daje do skonsumowania telewizja.

Byliśmy tego świadomi od początku prac nad „Bożą podszewką”. Mówię: byliśmy, bo jako redaktor telewizyjny uczestniczyłem w pierwszych rozmowach z autorkami. Choć znałem scenariusz i oglądałem nakręcony materiał, gotowy serial zaskoczył. Rzecz jasna, trudno mi o pełną bezstronność. Powiem więc od razu w trybie osobistym: jestem dumny, że figuruję gdzieś w czołówce „Bożej podszewki”. Wydaje się bowiem, że mamy do czynienia z wydarzeniem telewizyjnym dużej miary. Izabella Cywińska zrobiła nie mniejszy wyłom w tradycji polskich epickich seriali niż w swoim czasie (1984) w Niemczech Edgar Reitz swoim „Heimatem”. Tamten film uderzał realizmem, prawdą szczegółu, ten – swoją ekstrawagancją, subiektywnym obrazem życia.

Wchodzimy w żywioł życia opowiedzianego ze swadą i przesadą, charakterystyczną dla rodzinnych opowieści. Takie rzeczy opowiada się tylko bliskim – Teresa Lubkiewicz-Urbanowicz i Izabella Cywińska ośmieliły się opowiedzieć tę historię całemu krajowi.

Nie ma w „Bożej podszewce” epickiego dystansu. Rodzinę Jurewiczów chciałoby się widzieć przez pryzmat narodowej historii, jako reprezentantów swojej klasy, swego środowiska. Tymczasem każdego z aktorów tego „teatru życia” – zarówno rodziców i dzieci, jak i sługi, sąsiadów, gości (wyróżniłbym rolę Hanny Śleszyńskiej – Józki – oraz Izabelli Dąbrowskiej – ułomnej Wandzi) – oglądamy przynajmniej przez chwilę w wielkim zbliżeniu. Czasem wręcz podglądamy ich okiem głównej bohaterki Maryśki, nazywanej między rodzeństwem „bożą podszewką” (życiowa rola Agnieszki Krukówny). Historia Maryśki, noszącej w sobie kompleks niekochanego i niechcianego dziecka, oglądana jest z kolei okiem jej córki, autorki powieści i scenarzystki serialu. Zamiast mitycznego Soplicowa, centrum polskość (choćby zdegradowanej), mamy do czynienia z prywatnym mitem rodzinnym.

Serial o nieszczęśliwych. Nie ma żadnej nadrzędnej instancji, w którą ich los byłby wpisany. Bohaterowie są sami. Nie chroni ich żadna Opatrzność. Niemal każdy odcinek rozpoczyna się ujęciem dworu w Juryszkach widzianego z wysoka, jakby z nieba; życie oglądane z takiej perspektywy wydaje się tylko igraszką ślepych żywiołów. Historia wchodzi

w ich opłotki bez zapowiedzi, z bolszewikami, Niemcami, litewskimi szaulisami, AK-owcami, którzy giną na ich oczach. Ale dziwna rzecz: nie patrzymy na to jak na narodową tragedię. Historia, która się przez zaścianek przetacza, jest częścią „teatru życia”.

Ten, kto pokazuje nam ów „teatr”, ma gust całkiem nowoczesny. Rodzice Maryśki (świetni Danuta Stenka i Andrzej Grabowski), ukazani „bez uszanowania”, przypominają chwilami Ojca i Matkę ze „Ślubu” Gombrowicza, a Elżutka Fraszyńskiej przyszła wprost z „Białego małżeństwa” Różewicza.

W XX-wiecznym Soplicowie wszystko jest inaczej niż w narodowej epopei: co tam było podniesione do sfery baśni, tu zostaje obniżone, zdegradowane. Po co? – pytają oponenti. Może właśnie po to, żeby pokazać, że życie da się pokochać takie, jakie jest naprawdę? Z prawdy o powszechnej nieumiejętności kochania, ma wynikać nowe „kochajmy się!” Oglądając historię Maryśki, pomyślałem o poetyckim wyznaniu autora „Pana Tadeusza”, znalezionym w jego pośmiertnych papierach. On także przedstawia siebie jako niekochane dziecko: „Ach, już i w rodzicielskim domu byłem złe dziecię! Choć nie chciałem naprzykrzać się nikomu! A przecie! Byłem między krewnymi i czeladzi gromadą! Przeszkodą i zawadą!”

– To więcej jak miłość, to sama wyrozumiałość – mówi na starość o swoim małżeństwie wielokrotnie zdradzana matka Maryśki. Matka zarazem zła i dobra, wyrodna i kochająca, głupia i mądra. Każda z postaci ma tu swoje drugie oblicze i każda znajduje moment „wyrozumienia”, obmycia z win.

– Moja rodzina to dzicz! – woła Maryśka w XII odcinku „Bożej podszewki”, kiedy za Niemców będzie zmuszona wrócić wraz z mężem (przejmująca rola Janusza Michałowskiego) do rodzowego gniazda i pobyc w łaskawym chlebie u rodzeństwa. Lecz w końcu stwierdzi: Byłam tu szczęśliwa! Jedno i drugie jest prawdą – że najmłodszą, niechcianą córkę w tym domu „zabijali” i że dobrze było tam żyć. Chwile euforii przychodzą niespodziewanie, radości można zaznać i pod bombami.

Treścią „Bożej podszewki” jest więc nie tyle historia Polski, zaścianka, rodziny, i nawet nie historia Maryśki, co sam nieuchwytny strumień życia przetaczający się przez Juryszki, Lidę, Wilno. Maryśka Mickiewiczówna jest tą, która znajduje się najbliżej tego strumienia. Jej szaleństwo ujawnia szaleństwo samego życia.

TADEUSZ SOBOLEWSKI